

# Kamienna Góra. Miasto Langhansa

Dwumiesięcznik kółka historycznego w Zespole Szkół Ogólnokształcących w Kamiennej Górze

Nr 3 (40) V-VI 2011 | Ukazuje się 5 razy w roku szkolnym | Rok założenia: 2003

## Połączyła ich Kamienna Góra /4/



14 stycznia 1950 r., gdy Zofia i Stanisław Rudomina byli już w zaawansowanym wieku /Zofia-44 lata, Stanisław-53 lata/, urodziła im się córka. O tym radosnym i wyczekiwanim wydarzeniu powiadomili niezwłocznie krewnych i znajomych. Jako jedna z pierwszych pospieszyła z gratulacjami ciotka Felicja Skarbek. W liście z 15 stycznia 1950 r. napisała: „Dro-dzy moi, Bóg zapłać za telegram tak bardzo oczekiwany, moja godność „Cioci-babci” powiększyła się dzięki Wam. Chodzę

dumna jak paw! [...]”. Nianką Barbary Rudomina została Hele-ne Erben, postać niezwykle, która prawie 40 lat będzie bar-dzo blisko związana z tą rodziną, chociaż nie łączyły ich żadne więzy pokrewieństwa! Kim była ta wyjątkowa kobieta?

HELENE ERBEN przyszła na świat w Kamiennej Górze 13 czerwca 1911 r. /dokładnie 100 lat temu!/. Jej matka – Ber-ta Erben /1880-1950/ z domu Stark, robotnica fabryczna bez zawodu, miała korzenie czesko-polskie. Ojciec Johan

WYDAWCA: Szkolne Koło Miłośników Historii Lokalnej im. Carla Gottharda Langhansa

w Zespole Szkół Ogólnokształcących w Kamiennej Górze, ul. M. Skłodowskiej-Curie 2

REDAKCJA: Jan Lubieniecki (red. naczelny), Adrian Borys (red. techniczny), Martyna Nosal (red. techniczny)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie bez zgody wydawcy zabronione.





/zm. 1917/ był niemieckim Austriakiem i trudnił się krawiectwem. Zanim Erbenowie osiedli w Kamiennej Górze /Landeshut/, mieszkali po czeskiej stronie Sudetów nad górna Łabą. Wychowywali aż dziesięcioro dzieci, w tym dwoje pannieńskich Berty. Ich wspólne potomstwo przychodziło na świat w latach 1909-1916. Żyli bardzo skromnie. Wiadomo, że jeden z braci Helene zginął pod Stalingradem, a drugi miał zakończyć życie w lazarecie w Łodzi. Najmłodszy z rodzeństwa, Gerhard /1916-1988/, mieszkał po II wojnie w RFN i z pozostałą w Polsce siostrą utrzymywał kontakty korespondencyjne. O pozostałych dzieciach nic nie wiadomo.

Do szkoły podstawowej /ludowej/ Helene uczęszczała w Kamiennej Górze i prawdopodobnie na tym etapie zakończyła swą edukację. Była osobą stanu wolnego i bez wyuczonego zawodu. Całe dorosłe życie spędziła na wykonywaniu obowiązków pomocy domowej – gosposi, sprzątaczk, niańki i pracownicy fizycznej. Przed wojną zatrudniali ją zamożni kupcy, prawnicy, lekarze, ogrodnicy. Miała wyjątkowy dar niebios do wychowywania cudzych dzieci, które traktowała jak własne. Jako gorliwa katoliczka pielgrzymowała do świętych miejsc na Dolnym Śląsku. Posiadała czeski paszport, odebrany jej przez władze hitlerowskie w 1938 r. W latach 1937-1944 należała do Oddziału Niemieckiego Czerwonego Krzyża w Kamiennej Górze.

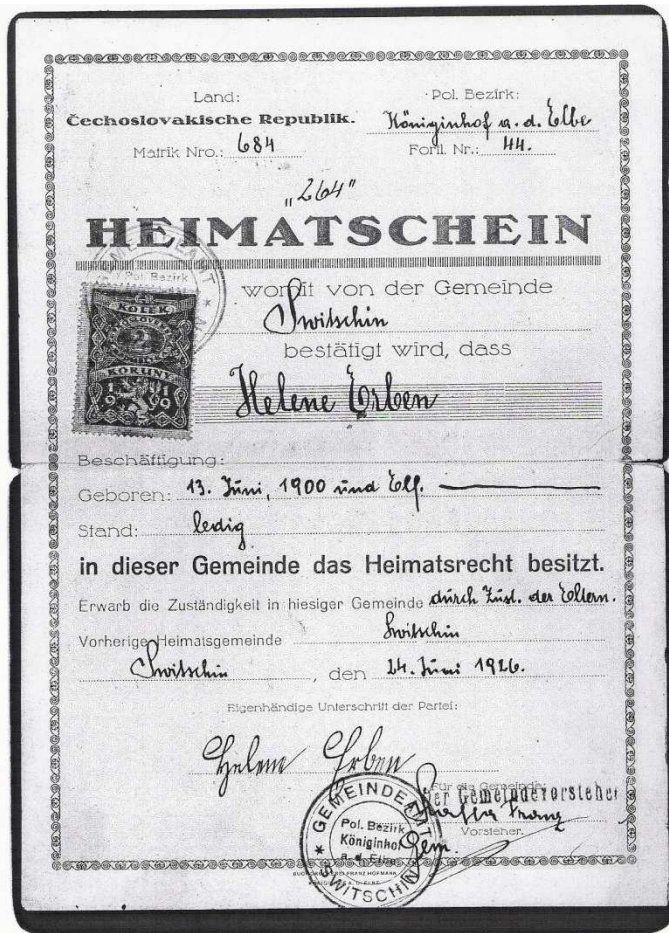
Od sierpnia 1945 r. do początku grudnia 1946 r. pracowała u Tutaja, kierownika Rzeźni Miejskiej. W tym czasie mieszkała w „Kamienogórze ul. Rynek 1”. Od 9 grudnia 1946 r. zamieszkała u matki przy ul. Ogrodowej 10. Helene, jako obywatelka III Rzeszy, posiadała założoną 11 lutego 1946 r. Kartę Rejestracyjną nr 5363, ważną do 31 marca 1946 r., w której wpisano jej narodowość czeską. Wraz z matką były zmuszane do wyjazdu do Niemiec. Bardzo obawiały się podróży w nieznaną, ich marzeniem było pozostanie na zawsze w Kamiennej Górze. Matka Helene w tym czasie ciężko chorowała. Gdy w 1947 r. ponownie próbowano je wyekspediować z miasta, niespodziewanej pomocy udzieliła im Janina Rudomina, siostra Stanisława. Dzięki jej wstawiennictwu Helene od 1 września 1947 r. została zatrudniona na etacie sprzątaczk w Inspektoracie Szkolnym, w którym zamieszkała też z matką w pokoiku na poddaszu. Podinspektor Rudomina, doskonale znający język niemiecki, nie pozostawił obu kobiet bez pomocy. W stosownym terminie otrzymywały zaświadczenia lekarskie, odsuwające w czasie terminu ich przymusowego wyjazdu. Opinie o „niezdolności do transportu” Berty Erben ze względu na stan zdrowia wystawiali ówcześni lekarze kamienogórzscy: H. Schleenbecker, L. Bambauer i L. Gelewski. Ostatecznie matka z córką pozostały. W maju 1950 r. Berta Erben zmarła i została pochowana na cmentarzu przy ul. Katowickiej. Trzy miesiące wcześniej Helene otrzymała z Zarządu Miejskiego urzędowy przydział na mieszkanie – 1 pokój na poddaszu przy ul. Parkowej 3.

Helene od początku pracy w Inspektoracie Szkolnym nie tylko sprzątała pomieszczenia biurowe, ale też służyła pomocą Zofii i Stanisławowi Rudominom w prowadzeniu ich gospodarstwa domowego. Gdy w 1950 r. urodziła im się córka, została jej niańką i opiekunką na wiele, wiele lat. Stanisław przed śmiercią miał ją poprosić, aby nie opuszczała najdroższych mu osób. Przyrzeczenie zostało złożone i dotrzymane!

Dokładnie dwa miesiące po urodzeniu dziecka Zofia doznała niespodziewanej klęski zawodowej. Z dniem 15 marca

1950 r., decyzją Centralnego Zarządu Przemysłu Włókien Łykowych w Łodzi, została zwolniona ze stanowiska dyrektora Szkoły Przemysłowej w trybie natychmiastowym i bez odszkodowania z powodu „niedociągnięć administracyjno-biurowych”. Nie pogodziła się z nią i głęboko ją przeżywała. W ówczesnych realiach okresu stalinowskiego /do 1956 r./ na porządku dziennym było zjawisko demaskowania tzw. wrogów ludu. Sądzić należy, że tak stało się i w tym przypadku. Ludzie niesłusznie oskarżeni nie mieli żadnych szans na swoją obronę. Dopiero po przełomie październikowym 1956 r., gdy nastąpił czas „odwilży” /destalinizacji/, możliwe stało się naprawienie świeżych jeszcze w pamięci „błędów i wypaczeń”. Ten moment historyczny Zofia wykorzystała skutecznie. W piśmie do Ministerstwa Oświaty z 15 września 1957 r. napisała: „[...] Mam pełną świadomość, że rehabilitacja mi się należy i daleką jestem od zebrania jakiegokolwiek litosci czy też współczucia. Jeżeli istotnie byłam tak słabą administratorką, to sądzę, że Centralny Zarząd Przemysłu Włókien Łykowych [...] mógł mnie zwolnić wcześniej, a nie po pięciu latach trudnej i ofiarnej pracy, w okresie której nie miałam żadnej pomocy. Zwolnienie mnie w dodatku w okresie urlopu macierzyńskiego mój mąż załatwił jakoś, gdyż nie chciałem się o tym dowiedzieć leżąc w połogu [...]”. Na końcu pisma dodała: „Obecnie chodzi mi tylko o to, by mieć zaliczone do emerytury wszystkie lata, które dzięki tej sprawie strawić musiałam na innych placówkach, bym mogła jeszcze powrócić do pracy nauczycielskiej, od której zostałam tak brutalnie odsunięta, i wreszcie, by w moich dokumentach nie było nic, co by plamiło moje dobre imię”. Sprawa ta trafiła w końcu do Komisji Rehabilitacyjnej przy Wydziale Oświaty PWRN we Wrocławiu, która po „wysłuchaniu stron” orzekła 13 listopada 1957 r., że decyzja o zwolnieniu Zofii Rudomina ze stanowiska dyrektora Szkoły Przemysłowej w Kamiennej Górze „była wysoce krzywdząca i niesłuszna”. Komisja postanowiła też zaliczyć jej okres pracy poza szkolnictwem do wysługi lat „jako podstawy uposażenia i wymiaru zaopatrzenia emerytalnego”. Zalecono też władzom oświatowym zatrudnienie jej w jednej ze szkół zawodowych. W uzasadnieniu tego bardzo korzystnego dla byłej Kamienogórzanki werdyktu stwierdzono: „Ob. Rudomino Zofia była organizatorką Gimnazjum Przemysłowego i Szkoły Przemysłowej w Kamiennej Górze. Centralny Zarząd powierzył jej kierownictwo tych szkół, mimo jej sprzeciwu, motywowanego nadmiarem zajęć w obydwu szkołach i stałymi trudnościami w obsadzie nauczycielskiej. Ob. Rudomino widząc trudności Centralnego Zarządu obowiązki te przyjęła i cały swój zapał, trud i inicjatywę poświęciła kierowanym przez siebie szkołom. Skupiając całą swą uwagę na zapewnieniu młodzieży normalnego toku nauki oraz znośnych warunków wychowawczych i bytowych, zaniedbała z braku sił i czasu sprawy administracyjno-biurowe. Dlatego na tym odcinku powstały niedociągnięcia, powodujące przykre acz niesłuszne następstwa dla zainteresowanej, a które Centralny Zarząd nie zważając na trudności, uznał za podstawę do jej zwolnienia”. Mimo pomyślnego finału sprawa ta ciążyła na jej honorze do końca życia.





13 lat później /1970/, gdy była już na emeryturze, dowiedziała się o książce wydanej w 1968 r. przez Ossolineum pt. „17 opowieści prawdziwych. Wspomnienia Dolnoślązków” pod red. J. Wojtanowicza. Autorem jednej z opowieści był Adam Zagrobelny, który w tekście „W cichym Walimiu” poruszył m.in. problem funkcjonowania szkoły kierowanej przez Zofię Rudomina. Wspominał: „Skierowanie dostałem do liceum włókienniczego w Kamiennej Górze. Był to już rok 1949. [...] W porównaniu z Bielskiem Kamionka – jak nazywaliśmy Kamienną Górę – była małym zaściankiem. Warunki nauki i bytowe też nie były najlepsze, brak było zwłaszcza dobrych wykładowców. Praktyki odbywaliśmy w miejscowych zakładach „Len” i „Wisła”. Musiałem się przyzwyczaić do nowej społeczności. Oprócz nauki mieliśmy masę innych zajęć, [...]. Szkoła co pewien czas miała innego administratora, [...]. Te zmiany nie przynosiły nic dobrego, bo bywały okresy, że stary administrator już nie łożył pieniędzy na utrzymanie szkoły, a nowy jeszcze nie. W tej próżni myśmy cierpieli. Nie było co jeść, bo za co kupić, skoro konto szkoły było puste. [...] Założyliśmy w szkole komitet uczniowski i zaczęliśmy interweniować. Chodziliśmy do ojców miasta, do Komitetu i gdzie się tylko dało. A gdy nic nie pomogło, opisałem to wszystko. W porozumieniu z zarządem ZMP wysłałem listy, m.in. do ministerstwa i „Gazety Robotniczej”. „Gazeta” wydrukowała, inni też się zainteresowali. Zaczęły zjeżdżać komisje. Ktoś musiał być winien. [...] Ofiarą stała się pani dyrektor naszej szkoły, zarzucono jej nieporadność i zdjęto [...]”. 64-letnia Zofia Rudomina, zbulwersowana niektórymi stwierdzeniami Grobelnego, za pośrednictwem Wydawnictwa Ossoli-

neum napisała do autora 9 kwietnia 1970 r. ostrą ripostę: „[...] Prowadziłam dwie szkoły, jedną rano, jedną popołudniową, a na wolne godziny wieczorem pozostawał mi internat, który zresztą często odwiedzałam. Do pomocy miałam jakiś czas jedną sekretarkę na dwie szkoły oraz dwóch woźnych – jeden na dwie szkoły, a drugi w internacie. Internat miał swego kierownika, który jednak okazał się człowiekiem bardzo niesolidnym [...]. Że był brak pieniędzy? Istotnie były momenty przykre! Przecież z nadejściem nowego roku kalendarzowego pieniądze na gimnazjum i internat nadeszły 24 marca! Mało lat utkwilo mi tak dokładnie w pamięci, jak te! Prawie trzy miesiące karmiłam Was nie mając na to żadnego pokrycia! [...] Fakt ten zaistniał dlatego, że zmieniono drogę przesyłki pieniężnej. No, tak było! A jak przyjeżdżali Panowie z Łodzi i przywozili dyrektorów, by ich tam osadzić, to na drugi dzień kandydat wywiewał, że się Panowie od spraw szkoleniowych potapać nie mogli. Kiedy to się stało, składali broń i kończyli załóżnie: „Pani Rudomina jakoś sobie poradzi”. I zwolnili mnie wtedy, gdy urodziłam córkę. Zaiste, moment wybrany z wielką znajomością przepisów prawnych. To chyba sam Pan przyzna! [...] A żeście głodowali – to niemożliwe! Przecież sama wydałam zarządzenie, by każdego dnia jeden z Was miał dyżur w kuchni i w magazynie od 7 do 19 celem uchronienia Was przed okradaniem przez personel kuchenny. Pisaliście do ministerstwa, a drogi do mnie nie znałicie? [...]”.

Chrzest córki odbył się z pewnymi komplikacjami. Stanisław, jako kierownik szkoły pod patronatem TPD – instytucji propagującej wartości świeckie w życiu, nie mógł z oczywistych względów ochrzcić swego dziecka w kościele, dlatego skrycie zamówił księdza do domu w niedzielę Wielkanocną. Niestety, duchowny odmówił spełnienia tej usługi. Znalaziono jednak inne rozwiązanie. Zofia, gdy mąż przebywał na kolonii szkolnej na Mazurach, sfinalizowała chrzest w kościele św. Józefa w Krzeszowie w lipcu 1950 r. Skromne przyjęcie urządzono na ... trawniku. Ojcem chrzestnym Barbary Wandy Rudomina został Hugo Zieliński, historyk z przedwojennego archiwum wojskowości. Z obozu jenieckiego dla oficerów /oflagu/ powrócił do rodziny dość późno, dlatego jego żona Zofia przeniosła się z dwiema córkami ze zrujnowanej Warszawy do Kamiennej Góry i otworzyła tutaj własny sklep warzywny w rynku. Obie Zofie – Rudomina i Zielińska – przyjaźniły się. Dorota, córka Zielińskich, przez pewien czas pracowała w kamiennogórskim liceum na etacie nauczycielki wychowania fizycznego. Po wyjeździe z Kamiennej Góry Zielińscy zamieszkali w Śródborowie koło Otwocka, pracując w administracji miejscowego sanatorium. W odwiedzinach przybywała tu z córką Zofia Rudomina.





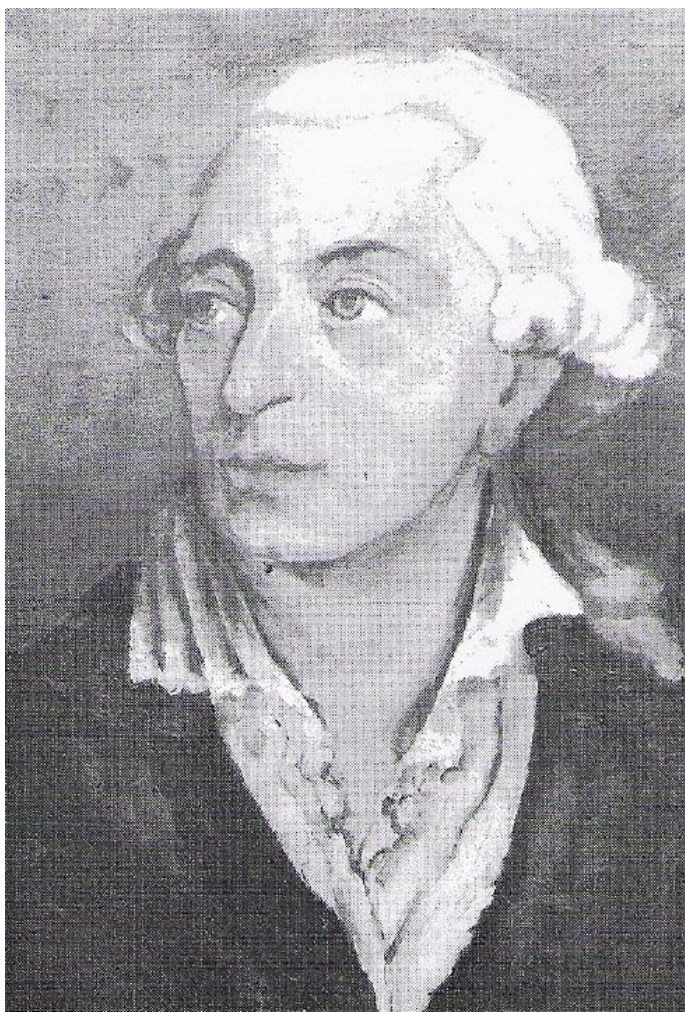


Po wejściu w życie ustawy z 20 marca 1950 r. inspektoraty szkolne włączono w skład prezydiów rad narodowych jako wydziały oświaty. Dotychczasowy inspektor szkolny, Aleksander Burski, przeniósł się z rodziną do Wrocławia i od

1 września 1950 r. podjął pracę na stanowisku wizytatora w Wydziale Oświaty Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. W 1951 r. zatrudnienie miał tam też znaleźć Stanisław Rudomina. Niestety, plany te ostatecznie pokrzyżowała jego długotrwała choroba. Na początku maja, tuż przed swoimi imieninami, trafił do jednego z wrocławskich szpitali i po dwumiesięcznym pobycie w dniu 7 lipca 1951 r. zakończył życie w wieku 54 lat. Odwiedzała go bliższa i dalsza rodzina. Z żoną Zofią widział się ostatni raz w dniu śmierci. Zmarł w momencie, gdy na chwilę wyszła do apteki po lekarstwa. Stanisław Rudomina-Dusiński pochowany został na wrocławskim cmentarzu przy ul. Bujwida. 11 lipca 1951 r. do wdowy po Stanisławie dotarł telegram kondolencyjny z zarządu okręgu ZNP we Wrocławiu: „Wyrażamy najgłębsze współczucie koleżance z powodu śmierci jej męża a naszego długoletniego członka i działacza związkowego. W zmarłym tracimy aktywnego i wiernego towarzysza walki o lepsze jutro”. /cdn./

**Jan Lubieniecki**

## „Dziecko Kamiennej Góry” naczelnym architektem Prus! /3/



Druga podróż zagraniczna Langhansa do Anglii i Francji, sfinansowana z kasy królewskiej, trwała aż 248 dni – od maja 1775 r. do stycznia 1776 r. Jej głównym celem było zapoznanie się z najnowszymi rozwiązaniami technicznymi w zakresie budownictwa wodnego i przemysłowego. Miał również fachowym okiem przyjrzeć się teatrom, kościołom, rezydencjom z założeniami parkowymi, szkołom i przytułkom dla ubogich oraz sporządzić stosowną dokumentację graficzną do wykorzystania w projektowaniu różnych obiektów w Prusach.

W połowie maja 1775 r. śląski architekt wyjechał z Wrocławia do Berlina. Tutaj spotkał się m.in. z urodzonym w Czarnym Borze Carlem Abrahamem von Zedlitzem /1731-1793/, pruskim ministrem sprawiedliwości i kultury, reformatorem szkolnictwa, twórcą matury. W Dessau rozmawiał ze swym kolegą po fachu, Friedrichem Wilhelmem von Erdmannsdorffem /1736-1800/, wznoszącym dla księcia Leopolda III von Anhalt- Dessau pierwszą w pełni wykształconą rezydencję niemieckiego klasycyzmu – pałac i park w Woerlitz, zrealizowaną w opinii Langhansa „w doskonałym guście”. 10 lat później obaj panowie pracowali już wspólnie w Poczdamie. Przez Lipsk, Magdeburg, Brunzwik i Hanower dotarł do Westfalii, gdzie na specjalne życzenie króla dokonał inspekcji nowopowstających fabryk. Lato spędził już w Holandii i zamieszkał w Amsterdamie. Objeżdżając „kraj tulipanów” podglądał funkcjonowanie obiektów z zakresu inżynierii wodnej i podziwiał historyczne budowle. 8 września 1775 r. zawiątał do Londynu. W Anglii, kraju pierwszej tzw. rewolucji przemysłowej, spędził pracowicie kilka tygodni. Odwiedził Manchester i Birmingham, miasta, w których na dużą skalę zaczął rozwijać się przemysł fabryczny. Prawdopodobnie był pierwszym Ślązakiem, który miał możliwość widzieć na własne oczy praktyczne zastosowanie maszyny parowej Jamesa





Watta, symbolu postępu i nowoczesności w epoce Oświecenia. Ten genialny wynalazek tak zainspirował Langhansa, że po powrocie na Śląsk stworzył własny model tego urządzenia i próbował zainteresować nim Urząd Górniczy w Tarnowskich Górach jako „maszynę ogniową do pompowania wody” ze sztolni. Tymczasem dusza artysty rodem z Kamiennej Góry radowała się na widok nowoczesnych budynków teatralnych z bogatym wyposażeniem, pałaców z ogrodami i parkami czy też okrytych mgiełką tajemniczości budowli neogotyckich. W październiku 1775 r., wzbogacony o nowe doświadczenia i przeżycia artystyczne, opuścił Anglię przepływając się przez kanał La Manche z Dover do Calaise. 19 października przybył na dłuższy czas do Paryża. Każdy dzień pobytu Langhansa w stolicy Francji wypełniała realizacja założonych celów podróży. Dogłębnie studiował rozwiązania architektoniczne

teatrów, pałaców, kościołów, szkół, szpitali. Jego uwadze nie umknęła żadna nowinka architektoniczna, którą starał się na bieżąco utrzymywać na papierze. Najwięcej czasu poświęcał najnowszym dziełom neoklasycyzmu. 15 listopada opuścił Paryż i ruszył w drogę powrotną przez Brukselę, Hanower i Berlin, gdzie zamówił dla pałacu Hatzfeldta obrazy i meble. Dwa miesiące później, 14 stycznia 1776 r. zameldował się z powrotem we Wrocławiu.

Podczas tej podróży Langhans zetknął się z wieloma tendencjami w architekturze i w sposób twórczy poddał się ich oddziaływaniu. Jego twórczość budowlana nosi ślady inspiracji architekturą angielską i francuską, występującą obok siebie w tych samych dziełach na równi z elementami antycznymi, barokowymi i silnym wpływem sztuki włoskiej. /cdn./

Źródło: Najnowsze publikacje Jerzego K. Kosa i Friedhelma Grundmanna.

Jan Lubieniecki

## W Czadrowie to była szkoła! /6/ Wyjątki z kroniki szkolnej 1958-1970

Rok szkolny 1967/68. Nauczyciele: Gajewska Helena – kierownik szkoły, Siembida Janina, Klasa Krystyna, Kaliszuk Tadeusz, Trybulec Jadwiga, Mucha Maria. Współpraca z Gromem układała się pomyślnie. 12 października odbyło się spotkanie w klubie „Ruch” z przedstawicielami WOP z Okrzeszyna. 7 listopada zorganizowano uroczysty apel z okazji 50. rocznicy Rewolucji Październikowej. Dzieci recytowały wiersze i śpiewały pieśni pod batutą kol. Kaliszuka. 12 stycznia 1968 r. odbyła się choinka noworoczna, a 24 lutego w sali klubu „Ruch” zabawa karnawałowa. Obie imprezy przygotował i przeprowadził Komitet Rodzicielski pod kierownictwem Aleksandra Domańskiego. 8 Marca – Dzień Kobiet. Uczniowie wręczyli kobietom z Czadrowa w czasie akademii kwiaty i laurki, a potem odbyła się potańcówka. 30 kwietnia – uroczysty „capstryk” z okazji święta 1 Maja. Dzieci z pochodniami i pieśniami na ustach maszerowały przez całą wieś. Na zakończenie defilady w klubie „Ruch” wystąpił chór szkolny kol. Kaliszuka i deklamowano wiersze. 1 czerwca z okazji Dnia Dziecka duża grupa uczniów brała udział w wycieczce krajoznawczej pod kierunkiem kol. Kaliszuka.

Rok szkolny 1968/69. Praca układała się bardzo dobrze. Szczególną pracowitością i sumiennością w pracy wyróżniał się kol. Kaliszuk Tadeusz. Nauczał chemii, fizyki, matematyki, zajęć praktycznych i śpiewu. Oprócz chóru prowadził też spółdzielnię uczniowską, dającą duże dochody. Za zasługi w tej dziedzinie mianowano go instruktorem powiatowym ds. spółdzielczości szkolnej. Z tego zakresu uczniowie z Krzeszowa, Chełmska i Lipienicy zdawały w naszej szkole egzaminy. Dzieci z Czadrowa brały udział w walnym zebraniu SOP przy Banku Rolnym w Kamiennej Górze. Uroczyste, ale i z przykrością żegnano na koniec roku szkolnego kol. Siembidę i kol. Kaliszuka, którzy odeszli z naszej szkoły. Byli to nauczyciele

z powołania. Otrzymali kwiaty i upominki. Większość dzieci płakała.

19

**Szkoła Podstawowa w Czadrowie**

**Zgłoszenie przejazdu wycieczki szkolnej**

Ob. *Kaliszuk Tadeusz*  
(nazwisko i imię przewodnika)

*Ameryków 140. pow. Kamienna Góra*  
(dokładny adres)

legitymujący się dowodem tożsamości z fotografią Nr *EC-161447*

wystawionym przez *KPMO Świdlice*

prowadzi z ramienia *Szkoły Podstawowej w Czadrowie*  
(nazwa szkoły)

grupa w łącznej ilości *40* osób  
(liczba) na wycieczkę szkolną, z czego

*40* uczniów (słuchaczy) w wieku powyżej 10 lat  
— uczniów poniżej 10 lat  
— osób personelu nadzorującego uprawnionych do ulgi 33% \*)  
*4* osób personelu nadzorującego uprawnionych do ulgi 50% \*)

prosi o wydanie biletu blankietowego zbiorowego na przejazd w **Masic 2** pociągu osobowego za opłatą ulgową ~~nie ulgi 33%~~ ze zniżką 50% \*)

w następujących relacjach:

	od stacji	do stacji	przez
1.	<i>Kamienna Góra</i>	<i>Marecinów</i>	—
2.			
3.			
4.			
5.			
6.			

Ważne od dnia *1.VI.68r.* do dnia *—* 19 *—* r.  
(data wyjazdu) (data powrotu)

*Czadrow*, dnia *1.VI.* 19 *68* r.

*H. Gajewska*  
(podpis kierownika szkoły)

*—*  
(podpis przewodnika wycieczki)

\*) Najwyżej jedna osoba na 10 uczniów (słuchaczy).  
\*\*) Ulga 50% przysługuje dzieciom w wieku do 10 lat oraz personelowi nadzorującemu dzieci w tym wieku.  
\*\*\*) Najwyżej 2 dni.

PRP Seria H 1031 Sprzed.  
DK Kraków, zam. 1285/66 Nakł. 4.500 szt. A 5 papr. pism. 60 g III.



Rok szkolny 1969/70. Był to ostatni rok pracy kierowniczki szkoły ob. Gajewskiej Heleny, która po 44 latach pracy w zawodzie nauczycielskim, w tym 12 w Czadrowie, miała odejść na emeryturę. Doszły dwie młode, początkujące nauczycielki – Madej Halina i Gałańczuk Lucyna. Na początku roku została przeniesiona z naszej szkoły kol. Gambal Jadwiga, która wraz z mężem podjęła pracę w Szarocinie. Na jej miejsce przyszła kol. Żarczyńska Romualda. Gajewska Helena, udając się 11 lutego 1970 r. na konferencję kierowników szkół, poślizgnęła się i złamała nogę, trafiając do szpitala

w Kamiennej Górze. Jej obowiązki w zastępstwie przejęła kol. Żarczyńska.

Rok szkolny 1970/71. Duże zmiany w szkole. Na emeryturę odeszła Gajewska Helena. Kierownikiem szkoły został kol. Józefowicz Stanisław. Nauczyciele: Józefowicz Stefania, Gałańczuk Lucyna, Żarczyńska Romualda oraz dwie zupełnie nowe koleżanki. 1 września odbyło się uroczyste otwarcie nowego roku szkolnego. Kol. Gajewska Helena ze łzami w oczach pożegnała się z dziećmi. Otrzymała mnóstwo kwiatów. /koniec/

#### Oprac. Jal

Specjalne podziękowania dla Pań: Heleny Gondek i Anny Kondol za udostępnienie kroniki!

## Wspomnienia o kamiennogórskich Żydach /1/

### LICHT

Mały sklep z bielizną i rajstopami o nazwie „Licht” znajdował się przy Langhansstrasse [obecnie ul. K. Miarki]. Był skromnie prowadzony i niczym specjalnym nie wyróżniał się. Nie wiem nic istotnego o właścicielach sklepu, państwu Licht, poza tym, że pani Licht była ładną kobietą o blond włosach, która zawsze się uśmiechała, gdy się ją spotykało. Mam nadzieję, że rodzina państwa Licht przetrwała te straszne czasy [1933-1945].

### MOSLER

Moja mama pracowała jako krawcowa, dlatego też potrzebowała wielu przyborów do szycia. Kupowała je głównie w sklepie z odzieżą i pasmanterią „Mosler”, ponieważ był najbliżej. Na zakupy chodziło się wtedy pieszo. Rower dostałam dopiero po skończeniu 11 lat. Robiliśmy zakupy również w innych sklepach z modą, ale „Mosler” był najbliżej. Można było dostać tam wszystko, począwszy od naparstka a skończywszy na eleganckich nakryciach głowy – kapeluszach z filcu, materiału czy też słomy. Żydowski sklep „Mosler” był interesem rodzinnym spokrewnionych małżeństw Grunpeter i Schuftan.

Dorastałam pod okiem mamy, otoczona maszynami do szycia i związanym z tym całym kramem. Gdy chodziłam już drugi rok do szkoły i potrafiłam dobrze czytać, pisać i liczyć, mama wysyłała mnie do sklepu „Mosler” po różne guziki, paski, kołnierzyki, w kolorze i ilości zapisanej przez nią na karteczce, którą wsuwała mi do kieszeni. Choć moja głowa sięgała do szklanej tafli lady sklepowej, decydowałam co pani ekspedientka ma mi podać do wyszukania. Rachunki regulowała moja mama, zwracając przy okazji zbędny towar. Panie Grunpeter i Schuftan lubiły mnie – zawsze dostawałam jakiegoś cukierka. Panowie Grunpeter i Schuftan przebywali najczęściej w pomieszczeniach sklepu. Zawsze pytali bardzo uprzejmie klientów, a szczególnie pan Schuftan, czy kupili wszystko czego potrzebowali, dziękowali im za zrobione zakupy i odprowadzali aż do drzwi.

Moja mama i ja rozmawialiśmy czasem z właścicielami sklepu o prywatnych sprawach. Podczas jednej z takich rozmów pani Schuftan powiedziała mojej mamie: „Pani Schreiber, proszę się nie martwić o strój do bierzmowania dla Mausis, ubie-

rzemy ją od stóp do głowy”. Te słowa pamiętam bardzo dokładnie. Państwo Schuftan byli bezdzietni.

Nastał rok 1933. Na początku wszystko biegło po staremu, nawet przez kilka kolejnych lat. Duży sklep „Mosler” z wieloma wystawami znajdował się na nieszczęście naprzeciwko biura gazety, która w swej gablocie pokazywała zdjęcia i pisała o pogromie Żydów. Wśród mieszkańców Kamiennej Góry rozeszło się, że klienci „Moslera” są fotografowani w tym sklepie i muszą liczyć się z szykanami ze strony partii – NSDAP. Ten fakt zmienił dzień powszedni. Ludzie stronili od sklepu „Moslera” ze zrozumiałych względów. Nie mogłam tam więcej pójść, ponieważ należałam do organizacji „Młodzież Hitlera”, moja mama też. [...]

Wyjście i wejście do domu Moslera znajdowało się na tzw. Seilergasse. Moja mama wybierała się tam wieczorami, pod osłoną ciemności, na skąpo oświetloną uliczkę. Przemykała przez małą bramkę w płocie domu, a tam obsługiwała ją pani Schuftan. Mogła więc kupić wszystko, co potrzebowała w swej pracowni krawieckiej. Ten sposób robienia zakupów zapowiadał się dobrze, krył w sobie jednak gorzki posmak: mama przeżywała osobiście nędzę rodzin Grunpeter i Schuftan, ale nie mogła im pomóc. W domu dyskutowaliśmy o tym, co można w tej sytuacji zrobić, ale nie było żadnej możliwości udzielenia im pomocy, nie łądując samemu w obozie koncentracyjnym. Wieczorne odwiedziny mojej mamy były dla tych poniżonych ludzi balsamem na ich ciężki los.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, gdy moja mama ruszyła znów na swój wieczorny „spacer”. Po dość krótkim czasie wróciła z powrotem bardzo zdenerwowana i wykończona. Okazało się, że mama udała się jak zwykle w uliczkę naprzeciwko przedziałni, aby dotrzeć przez bramkę ogrodową do domu Moslera. W ostatniej chwili zauważyła stojącego przy płocie esamana [bojówkarza NSDAP]. Natychmiast zrozumiała co się dzieje i pobiegła dalej, udając, że nic nie widziała. Dopiero, gdy była już pewna, że jest poza zasięgiem jego wzroku i słuchu, popędziła do domu i opowiedziała nam pośpiesznie o tym, co właśnie przeżyła.

Tak, niestety, zerwała się całkowicie nić łącząca nas ze sklepem „Mosler”. Dowiedzieliśmy się, że rodziny Grunpeter i Schuftan opuściły w nocy Kamienną Górę i nic im się nie





stało. Do bierzniowania przystąpiłam w 1936 roku – nie ubrała mnie jednak pani Schuftan.

Dopiero po II wojnie i wysiedleniu Niemców z Kamiennej Góry udało się mojej mamie, osiadłej w Wagenfeld w po-

wiecie Diepholz, odnaleźć rodzinę Schuftan. Żyła w Palestynie. Państwo Grunpeter zmarło. Przez długie lata moja mama korespondowała z panią Schuftan, z domu Grunpeter.

Źródło: „Schlesischer Gebirgsbote”, nr 10/2009, s. 296-297.

Tłumaczenie: **Dominika Bodziony i Sebastian Wiśniewski, kl. Id LO**

## Wspomnienia o kamiennogórskich Żydach /2/

### HAMBURGER

Duża fabryka Iniarska w Kamiennej Górze należała do rodziny Hamburgerów. Jej właścicielem był dr Albert Hamburger, wysoki, kościsty i poważny pan. Jego żona, dr med. Katharina Hamburger, była osobą bardzo znaną w mieście i zawsze pomocną. Miała duży warkocz /kok/ i kurzajkę na nosie. Posiadała bardzo dźwięczny altowy głos, dlatego ludzie chętnie jej słuchali. Czasami, kiedy mój tata grał w kościele na wiolonczeli, ona pomagała mu, śpiewając. Pani doktor była Żydówką. Brała czynny udział w życiu miasta. Nadzorowała funkcjonowanie przedszkola i dbała o to, by wszystkie osoby miło spędzały tam czas. Pani Hamburger grała dobrze i chętnie w tenisa. W lecie spotykałam ją czasem w dresie i z rakiętą tenisową pod pachą, idącą od swej willi [obecnie Urząd Skarbowy] ulicą Kolejową [obecnie Papieża Jana Pawła II] w stronę kortu.

Do personelu państwa Hamburger należała Tatti – opiekunka do dzieci. Dwie ich córki, Eleonore i Gabriele, otaczała miłością i troską.

Moja mama raz w roku codziennie przez tydzień od 9 do 15 była zatrudniona w domu Hamburgerów jako krawcowa. Szyła im wtedy stroje na wakacje, które spędzali nad Morzem Bałtyckim. Po szkole chodziłam codziennie w południe do ich willi. Najpierw prowadzono mnie do kuchni, gdzie jadłam różne specjały i dopiero potem mogłam iść się bawić w pokoju zabaw. Tutaj znajdowała się mała kuchnia dziecięca z meblami, garnkami, sztućcami, czyli zgromadzono wszystko, co powinno zainteresować dziewczynki. Był tam też piec kuchenny. Pamiętam chwilę, gdy miałam 6-7 lat / teraz mam już 87 / i bawiłam się zabawkami, przyszła do mnie sprzątaczką Johanna i powiedziała: „Myszko, właśnie bocian przyniósł pani doktor małą dziewczynkę”. To było ekscytujące - bocian na I. piętrze, gdzie ja się bawiłam! Pomyślałam, że pewnie przyleciał z ogrodu. „Przyniósł” im nie męskiego potomka, lecz córkę, którą nazwali Alberta. Hamburgerowie posiadali w Krzeszówku wiejski dom, gdzie przyjeżdżali w lecie na parę dni zażywać świeżego powietrza.

Pamiętam, jak kiedyś pod koniec lekcji dostałam strasznych boleści brzucha. Ze szkoły zostałam przyprowadzona do Hamburgerów, gdzie była zatrudniona moja mama. Pani doktor zbadała mnie natychmiast, a potem wycięła czopek z mydła do prania, który zaaplikowała mi własnoręcznie. Później mogłam jeść mandarynki prosto ze skrzynki, ile tylko mogłam. Kucharka pokroiła mi aromatyczne owoce i ułożyła je na talerzu w kształcie róży morskiej. Myślę, że są to szczęśliwe wspomnienia, które pamięta się do późnej starości.

Po 1933 r. dużo zmieniło się w Niemczech, a także w Kamiennej Górze. Jednak fabryka Iniarska nadal należała do Hamburgerów, ale nosiła już nazwę „Tkalnia Mechaniczna”.

Hamburgerowie wyemigrowali i nie słyszałam długo już nic o tej rodzinie. W 1962 r. ukazała się w Ameryce książka /tytułu nie pamiętam/ napisana przez panią Hamburger, która ukryła się pod pseudonimem „Karin Roon”. W księgarni zamówiłam tę książkę, podałam po niemiecku nazwisko Roon, ponieważ myślałam, że nawiązuje ono do kamiennogórskiej ulicy – Roonstrasse [obecnie P. Ściegiennego], przy której znajdowała się fabryka. Sprzedawczyni natychmiast mnie poprawiła na „Run”. Odpowiedziałam jej: „Tak, oczywiście” i pomyślałam: „Nie masz pojęcia”.

Kiedy przeczytałam książkę pani doktor /opisywała funkcje wszystkich mięśni ciała ludzkiego/, wysłałam ją w paczce z listem do Ameryki z prośbą o autograf. Nie musiałam długo czekać. Pani Hamburger napisała mi na pierwszej stronie wiele ciepłych słów; dostałam również listy: od niej, od jej córek i Tatti. Nie brakowało w nich wspomnień o Kamiennej Górze oraz dodatkowych pozdrowień dla mojego męża, a ich kolegi z przedszkola. Kiedy mój mąż chodził do przedszkola przy ul. Kolejowej, jego mama pracowała u Hamburgerów. Ten list mam jeszcze, ale książka z dedykacją zagubiła się w trakcie mojej przeprowadzki do domu opieki.

Źródło: „Schlesischer Gebirgsbote”, nr 9/2009, s. 266-267.

Tłumaczenie: **Dorota Maraś, kl. Id LO**



## Wspomnienia o kamiennogórskich Żydach /3/

### PERITZ

Sklep rodziny Peritz znajdował się przy ul. Słowiańskiej i oferował wiele towarów konsumpcyjnych na codzienne zapotrzebowanie, a także szeroką gamę składników na sukienki, spódniczki oraz bluzeczki. Obsługa była uprzejma i pomocna. Najczęściej ktoś z rodziny pozostawał w sklepie /zazwyczaj przy wszystkich transakcjach udział brała cała rodzina lub przynajmniej jeden z jej członków/. Wszyscy witali życzliwie klientów, spełniali ich życzenia, odprowadzali do drzwi, kłaniali się i serdecznie pozdrawiali. Wraz z upływem lat sklep prowadziło tylko rodzeństwo – brat i siostra.



### PRERAUER

W Kamiennej Górze produkowano nie tylko tkaniny lniane czy sztuczny jedwab, ale również buty. Fabryka obuwia rodziny Prerauer zapewniała wielu mieszkańcom miasta pracę i wynagrodzenie. Rodzina Prerauer była popularna w Kamiennej Górze i cieszyła się uznaniem wśród jej obywateli. Mieszkała w wielkiej willi otoczonej ogrodem, którego tylna część sięgała tamy na Bobrze. W ich posiadaniu był też kawałek ziemi między bielnikiem zakładów lniarskich a młynówką, który podzielono na działki i wydzierżawiono jako ogródki działkowe. Moi rodzice mieli tam ogródek z warzywami i kwiatami. Około 1944 r. mój ojciec zbudował piaskownicę dla swojego wnuka Ulliego /mojego syna/ do zabawy i robienia ciastek z piasku w cieniu sporego krzewu. Przytulna część wypoczynkowa obok altany zapraszała do zrelaksowania się po pracy.

Przez wiele lat spędzaliśmy wspaniałe dni i błogie godziny na rozmowach z ogrodowymi sąsiadami. Ten uroczy pas ziemi łączył nas z rodziną Prerauer. Należałoby jeszcze dodać, że syn, Herbert Prerauer, od mojego wujka Arthura Vogla nauczył się grać na flecie. Jestem szczęśliwa, że rodzina Prerauer końcówkę życia może spędzić w Ameryce Północnej. Od maja do września 1945 r. roślinność znów kwitła i rozwijała się na ogródkowym terenie. Plony przejęli Rosjanie i Polacy.

### PANI RIES

Bardzo dobrze pamiętam panią Ries, żonę naszego czcigodnego burmistrza dr. Riesa, który jako jedyny wtedy posługiwał się tzw. językiem pół-żydowskim. Była ona bardzo sympatyczną mieszkanką Kamiennej Góry, wykazującą się męstwem i odwagą. Osobiście poznałam ją w 1942 r.

Ponieważ zapowiadało się u mnie potomstwo, wzięłam oczywiście udział w kursie pielęgnacji niemowląt, prowadzonym przez N.S.V. Pierwszego dnia odnotowano obecność dużej liczby młodych kobiet w sali przy ul. Kolejowej [obecnie Papieża Jana Pawła II]. Pani Ries, w towarzystwie przyjaciółki, słuchała również wykładu na temat opieki. Spotykałyśmy się przez kilka wieczorów, pilnie chłonięłyśmy słowa siostr, a później ćwiczyłyśmy na lalkach. Kurs spowodował, że czułyśmy się podczas zabawy jak stare znajome. Witałyśmy się i żegnałyśmy się ze sobą bardzo uprzejmie, tak, jak powinno być. Byłyśmy przecież w tej samej sytuacji. W połowie grudnia przyszedł na świat mój pierwszy syn. Inne uczestniczki kursu w swoim czasie również odwiedził bocian; słyszałam, że pani Ries urodziła syna. To wszystko jest pięknym i stałym wspomnieniem o pani Ries.

### RINKEL

Do wielkich fabryk lniarskich w Kamiennej Górze należała firma Rinkel, nowoczesny zakład z własną przedziałnią. Pracowało tutaj wiele osób z powiatów kamiennogórskiego i wałbrzyskiego.

Mój związek z Rinklem polegał na tym, że co tydzień uczestniczyłam w próbach Kamiennogórskiej Kapeli Miejskiej. Dyrygent, pan Heyer, był pracownikiem Rinkla, dlatego udostępniono mu stołówkę zakładową na próby. Chętnie tam chodziłam z moim ojcem – trębaczem - i słuchałam go. Ja, jeszcze jako uczennica, siadałam z dala od muzyków i przyglądałam się próbom. Najtrudniej było zagrać „Walca cesarskiego” Johanna Straussa, bo pan Heyer ciągle denerwował się i zaczynał wszystko od nowa.

Czy Rinkel był pochodzenia żydowskiego – tego nie wiem, ale że długoletni dyrektor był wyznania judajskiego – to wiem na pewno. Nazywał się Rector. W 1994 r., po opublikowaniu mojego pierwszego artykułu, napisał do mnie jego syn Helmut Rector i podziękował, że wspomniałam o firmie Rinkel. Był również bardzo mi wdzięczny, że w kilku zdaniach napisałam o „małej społeczności żydowskiej”. Pan i pani Rector po powrocie z emigracji w Ameryce Południowej mieszkali w miejscowości Kronberg/Taunus. Pomiędzy panem Rectorem inną utrzymywał się przez długi czas ożywiony kontakt telefoniczny i pisemny. Pan Rector cieszył się humorem i zdrowiem do późnej starości. Panią Rector poznałam przez telefon – bardzo, bardzo miła.

Źródło: „Schlesischer Gebirgsbote”, nr 11/2009, s. 331-332.

Tłumaczenie: **Anna Nakoneczna, kl. Id LO**





## Rok 1945 w Sędzislawiu – wspomnienie

W czerwcu 1945 r. przeszliśmy pod polską administrację cywilną. Do Sędzislawia [Ruhbank] przybył wójt, a wraz z nim 15 milicjantów z komendantem na czele. Funkcjonariusze byli uzbrojeni i częściowo umundurowani. Na swoje siedziby zajęli 2 budynki: dom nr 16 przeszedł na urząd gminy, a w zajezdzie [Gasthaus zur Deutschen Eichen] ulokował się posterunek milicji. Kilka dni później liczba milicjantów wzrosła do 25 osób. Od tego czasu Niemcy nie mogli czuć się bezpiecznie. Niektórzy z nich zostali aresztowani, brutalnie pobici i zamknięci w milicyjnym areszcie w piwnicy. Dorośli i dzieci musieli nosić na ramieniu białą opaskę. Wszystkie napisy w języku niemieckim były usuwane. Z początkiem lipca 1945 r. Polacy przenieśli urząd gminy do innego zajazdu [Gasthaus zum Kronprinzen], a posterunek milicji do dużego 6-rodzinnego domu nr 63, należącego do wdowy Marty Fritsch. Dotychczasowym mieszkańcom nakazano opuszczenie go w ciągu jednej godziny.

9 lipca 1945 r. około godz. 7.45 do burmistrza Hermanna Muellera przyszło dwóch podpitych polskich żołnierzy z bronią i przekazali mu pismo z rozkazem wysiedlenia dziś między 8, a 9 rano niemieckiej ludności Sędzislawia z podręcznym bagażem ręcznym, w kierunku Nysy Łużyckiej. Niektórzy mężczyźni z tymczasowej rady gminy udali się z protestem do polskiego urzędu, ale nic nie wskórali. Pozostać mogli tylko ci

Niemcy, którzy byli fachowcami i ujęto ich w spisie. Przed godziną 13 rozpoczął się wymarsz ludności niemieckiej, konwojowanej przez dużą grupę uzbrojonych Polaków w mundurach, w tym ubranych w uniformy naszej straży pożarnej. Wśród Niemców panowała dezorientacja. Najodważniejsi nie zamierzali opuszczać Sędzislawia, dlatego poukrywali się w domach i okolicznych lasach. Tego samego dnia wysiedlono też mieszkańców Jaczkowa i Witkowa. Kolumna cywilów niemieckich z trzech wsi przeszła przez Kamienną Górę i Kowary kierując się w stronę Goerlitz. Polscy konwojenci pozwalali sobie na wrzaski i używanie broni.

Następnego dnia problem wysiedlenia był omawiany z rosyjskim komendantem wojennym powiatu. Przez tłumacza powiedziano nam, że ziemie te należą teraz do Polski i Niemcy muszą się stąd wynosić. Zaraz po pierwszym wysiedleniu w dniu 9 lipca, opuszczone domy niemieckie pozajmowali przybyli polscy rolnicy i kupcy, wywieszając na nich biało-czerwone flagi. Po pewnym czasie do swoich siedzib w Sędzislawiu powróciło z tej nieudanej ewakuacji [tzw. marszu Hitlera] około 70 % ludności wsi. Niestety, musieli teraz pogodzić się z faktem, że będą mieszkać pod wspólnym dachem z Polakami.

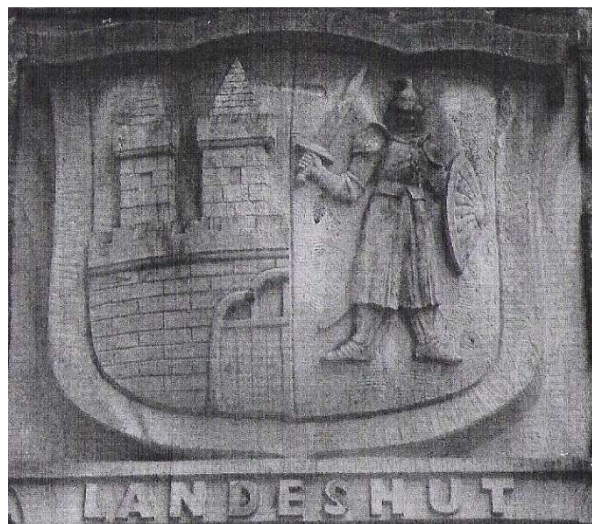
Źródło: „Schlesischer Gebirgsbote”, nr 11/2010, s. 338-339.  
Tłumaczenie: **Patrycja Madej, kl. Id LO**

## Herb Kamiennej Góry w Berlinie

W północnej części Berlina-Frohnau, w miejscu otoczonym z trzech stron drutem kolczastym i leżącym do 1989 r. w pasie neutralnym tzw. muru berlińskiego, znajduje się zabudowa dawnego Osiedla Inwalidów, licząca około 50 domów ze 180 mieszkaniami. Budynki z cegieł klinkierowych rozciągają się wzdłuż spokojnej i pełnej zieleni ulicy Staehleweg, nazwanej tak dla upamiętnienia ostatniego komendanta Osiedla Inwalidów – pułkownika Wilhelma Staehle, zamordowanego w więzieniu 23 kwietnia 1945 r. Dzisiaj osiedle to służy berlińskiemu Urzędowi Krajowemu Zdrowia i Opieki Społecznej oraz w części Ministerstwu Gospodarki i Technologii.

Historia tego osiedla sięga XVIII wieku i związana jest z panowaniem króla Fryderyka II /1740-1786/, który wzniósł je z myślą o ofiarach wojennych. Na koszt państwa kwaterowano tutaj rannych żołnierzy, zapewniano im opiekę medyczną oraz wikt i opierunek. Nad wejściem do każdego z domów znajdował się herb miasta, które odegrało ważną rolę w dziejach pruskiego militarysty. Herb Kamiennej Góry umieszczono na budynku nr 14, a więc jednym z najstarszych, na pamiątkę obrony miasta przed Austriakami w 1760 roku przez gen. Fouque. W pobliżu znajduje się cmentarz, jeden z ważniejszych

w Berlinie, na którym pochowani zostali pod koniec II wojny m.in. Todt i Heydrich.



Źródło: „Schlesischer Gebirgsbote”, nr 6/2010, s. 173-174.  
Tłumaczenie: **Mateusz Furmanek, kl. I Ib LO**





## Kronika Opawy /4/

Bałem się o swoje życie. Odrą spływała kra lodowa, która spiętrzała się, tworzyła zatopy, a wkrótce zaczęła trzaskać i pękać. Z wioski nad Odrą dobiegało ryczenie głodnego bydła i wycie psów. Widocznie mieszkańcy zostawili cały dobytek i uciekli. Rosjanie zbliżali się szybko i groziło nam odcięcie drogi odwrotu. Musieliśmy wracać na łeb, na szyję do Oławy. Tam niemiecki czołg miał nam otworzyć drogę. Po dotarciu do Strzelina ulokowano nas w budynku strzelnicy. Mieliśmy przerwę na odpoczynek i posiłek. Pomagaliśmy tutaj przy rozładunku pociągu towarowego ze zmarzniętymi burakami cukrowymi. Z sąsiedniego majątku przyjechała ciężarówka z maskami przeciwgazowymi, które załadowaliśmy na wagon, a potem w tym samym majątku ładowaliśmy zboże na ciężarówki i wywoziliśmy je na stację kolejową. Z kilkoma kolegami z pospolitego ruszenia [Volkssturmu] w Kamiennej Górze, Jeleniej Górze i Oławie, zostaliśmy skierowani do załadunku 250 sztuk bydła, choć panował mróz, padał śnieg i wszystko było oblodzone. Powieziono je w kierunku Kłodzka i Bystrzycy Kłodzkiej. Po pewnym czasie dotarliśmy do Budzowa koło Srebrnej Góry. Część mieszkańców była tu jeszcze, ale ze spakowanym dobytkiem na drabiniastych wozach czekała na sygnał do ewakuacji. Otrzymałem urzędową wiadomość, że powinienem wrócić już do domu, bo na moje miejsce przyjęto jakiegoś Aloisa i że Opawa pełna jest uciekinierów z okolic Namysłowa. Ze Srebrnej Góry udałem się najpierw do Barda, a stąd koleją do Lubawki. W Sędziszawiu telefonicznie kazano mi wracać i 4 marca [1945 r.] stawić się z powrotem w Lubawce. Musiałem przerwać swą wyprawę wojenną. W Opawie postawiono zapory przeciwczołgowe. Kilka dni później powrócili też ostatni członkowie pospolitego ruszenia z Opawy i Niedamirowa. Siedzieliśmy we wsi mocno wystraszeni, z obawą czekając na koniec wojny.

Z daleka dochodziła do nas armatnia kanonada. Przyszedł czas na podjęcie decyzji. Trzeba było wykonać wiosenne zasiewy, ale nikt jakoś nie kwapił się do tej pracy. Rosjanie byli już w Berlinie, Hitler i Goebbels nie żyli – tak przynajmniej nam mówiono. Z początkiem maja 1945 r. pospolite ruszenie ponownie zostało postawione na nogi i otrzymało zadanie obsadzenia zapór przeciwczołgowych. W ostatnią niedzielę wojny, gdy pełniliśmy służbę w karczmie w Opawie, przyszedł nasz szef Hoffmann z rozkazem: „Jutro wcześniej rano wieś

musi być opuszczona. Można uciekać przez Czechosłowację na zachód. Połowa stanu pospolitego ruszenia pójdzie do pełnienia warty, a pozostali mają siedzieć w domu i karmić bydło”. Wszyscy byli zgodni, aby tutaj zostać! Jeśli mamy umierać, to we własnym domu.

W poniedziałek przyszedł nowy rozkaz: „Pospolite ruszenie jest postawione na nogi!” Około godziny 20-tej mieliśmy udać się dwoma wozami konnymi do Lubawki. Przed wyjazdem wstąpiłem do sąsiada Taubego, aby posłuchać radia. Usłyszeliśmy komunikat: „Wojna jest skończona. Niemcy podpisały bezwarunkową kapitulację”. Nasza miejscowa władza jeszcze tego faktu nie potwierdziła, więc musieliśmy się stawić na punkcie zbornym w ewangelickiej szkole w Lubawce. Nie potrafiłszy odmówić wykonania rozkazu, więc ruszyliśmy szybko. Po drodze zgubiliśmy koło od wozu i poruszaliśmy się dalej pieszo. Zameldowaliśmy się u majora Hoeniga, ale on nie mógł połączyć się z dowództwem. We wtorek przed południem wróciliśmy więc do domu i czekaliśmy na rozwój sytuacji. Tego dnia przejechał przez Opawę starosta Fiebrantz z Kamiennej Góry. Po noclegu w młynie Raschkego, udał się następnego dnia przez Niedamirów do Czech, by później przez Goerlitz powrócić. Do czasu otrzymania dokumentów pozostał u znajomych. Nasz burmistrz tego samego dnia też uciekł na zachód. Dotarł tam cały i zdrowy. W Opawie zostawił całą rodzinę. Wszyscy spotkali się ponownie dopiero w 1946 r. W środę od Lehmana z Miskowic dotarła wieść, że Rosjanie maszerują w kierunku Opawy. Na przeciw im wyszli proboszcz Haase, organista Seifert i grupka mieszkańców. Przy kuźni Exnera dobiegli do nas chłopcy i zameldowali, że Rosjanie niedługo skręcą w stronę Szczepanowa. Poszliśmy na koniec wsi, aby to zobaczyć. Ujrzelśmy nie kończącą się kolumnę wojska, przemieszczającą się od cegielni w Miskowicach w kierunku sołtysówki w Szczepanowie. Przypomniała mi się prorocza myśl poległego Alberta Kopetzkiego. Podczas pobytu na urlopie w domu ojciec zapytał go, kiedy skończy się ta wojna, a on odpowiedział: „Gdy Rosjanie przejdą przez wzgórze na drodze z Miskowic do Szczepanowa”. Wzgórze to nazywaliśmy wtedy Kozim Grzbietem [dzisiaj Szczepanowski Grzbiet]. /cdn./

Źródło: „Schlesischer Gebirgsbote”, nr 4/2010, s. 114-115; nr 5/2010, s. 148-150.

Tłumaczenie: **Katarzyna Ziemiańska, kl. IIB LO**

